

Świadeństwo

Dziś mamy 16 września 2017 roku. Od rana pada deszcz, jest pochmurno, pogoda nie zachęca do wysiłku czy wystawienia nosa poza okno, drzwi. Siadam więc z kawą przed komputer, aby napisać kilka zdań o mojej przygodzie, znajomości, przyjaźni, łączności, identyfikacji z Fundacją Księdza Orione Czyńmy Dobro. Sama nie wiem jak to nazwać Dlaczego?

Nie wiem, czy to co napiszę odzwierciedli właściwie sens moich działań, intencji. Czy dobiorę właściwe słowa, czy nie wkradnie się za dużo emocji, czy zostaną zrozumiana. Dumam i dumam i co się wtedy dzieje Wychodzi słońce, powoli przestaje padać, ja uśmiecham się w duchu i już wiem, że powinnam to zrobić, napiszę, spróbuję. Mimo, że jest wiele innych osób, znacznie dłużej współpracujących z fundacją i działających dla dobra innych, robiących więcej ode mnie.

W grudniu 2014 roku, jak co dzień rano, przed wyjściem do pracy miałam włączone radio. W trakcie szykowania się słuchałam wiadomości, muzyki, które towarzyszyły mi zawsze przed wyjściem z domu. Oczywiście pochłonięta przygotowaniami i zaabsorbowana swoją osobą, słuchałam niezbyt uważnie informacji radiowych, zajęta jestem bowiem robieniem makijażu, fryzury, doborem stroju, aby w krótkim czasie osiągnąć zamierzony efekt i szybko wyjść do pracy. I wtedy..... słyszę fragment audycji, w której poszukiwano ludzi dobrej woli, aby pomogli potrzebującym i adoptowali na odległość dzieci z Kenii, zapewniając im podstawowe potrzeby. Wśród informacji, gdzieś w tle zabrzmiała nazwa fundacji i koniec audycji. Następne informacje, wiadomości, reklamy..... Zaraz, zaraz, ja potrzebuję szczegółów: gdzie, co, jak? Zrywam się natychmiast i w pośpiechu mówię do męża: *Ale ja muszę Ja chcę ...* On uspokaja mnie słowami: *Poczekaj, ty wiesz, ile jest takich fundacji? Ale ja chce właśnie tą* – odpowiadam i wychodzimy z domu, aby nie spóźnić się do pracy.

W ciągu dnia zajęta powierzonymi zadaniami, na chwilę zatrzymuję się i myślę o audycji oraz o tym, co chcę zrobić. Już postanowiłam. Po powrocie do domu pełna obaw i niepokoju, że nie znajdę namiarów, sięgam do Internetu (kopalni wiedzy) i odnajduję fundację, jej projekty i informacje o wiosce Laare. Na stronie fundacji oglądam dzieci zaadoptowane duchowo, dzieci, które są w trakcie adopcji i znajduję dwójkę dzieci do adopcji: śliczną dziewczynkę i bosego chłopczyka, który ma koszulkę tak brudną i podziurawioną, że moja ścierka do mycia podłóg jest ładniejsza. Wybieram Roneya, bo dziewczynkę zapewne zaraz ktoś adoptuje duchowo, a jego..., nie wiadomo. Wieczorem rozmawiam z mężem, który przestrzega mnie, prosi o rozważę, bo co będzie, gdy braknie funduszy. Wie, że związę się emocjonalnie i będę cierpiała, gdybym musiała zrezygnować z przedsięwzięcia. Tłumaczę, że przecież to koszt jednego wyjścia do kina, klubu, kawiarni czy spotkania z przyjaciółmi. Biorę to na siebie z pełną odpowiedzialnością, dzwonię do siedziby fundacji i wypełniam deklarację terminową, na rok, bo faktycznie, nie jestem przekonana, co będzie potem. Pracujemy oboje, ale W dzisiejszych czasach bywa różnie. Sama podpisuję umowę o pracę co roku, czasem trwożę się, czy będzie następna. Deklaruję się podjęcia dodatkowych prac, żeby tylko nie brakło na ten gest. Wiem też, że dzięki mnie chłopiec będzie chodził do szkoły, jadł i miał zapewnioną opiekę przedmedyczną, lepszy start w przyszłość. Co będzie potem, zobaczymy, życie zweryfikuje.

A życie zweryfikowało w następujący sposób: kolejny rok Roney jest w naszych sercach, wypełnia nasze życie. Co miesiąc realizujemy przelew, który wykonywany jest w pierwszej kolejności. Wysyłamy też pieniądze na prezenty świąteczne i bieżące potrzeby. W sypialni wiszą zdjęcia naszego synka adopcyjnego. Tak synka, tak właśnie go nazywamy. Nawet mąż, sceptycznie podchodzący do wielu rzeczy, mówi na niego **synek**, ustawia mi tapetę w telefonie z jego zdjęciem, wywołuje jego zdjęcia, wzrusza się, gdy mówi o nim. A ja wzruszam się o wiele bardziej, ryczę po prostu oglądając kolejne zdjęcia, czytając emaile, przeglądając dzienniczek z ocenami, widząc uśmiech na twarzyczce Roneya.

Odkąd Roney jest duchowo z nami, tak jak i my z nim, zmieniło się nasze życie, jest jakoś lżej, jakoś leci – jak to się mówi. Zawsze mamy na wszystko, co jest mniej lub bardziej potrzebne,

na wyjścia, wyjazdy, wakacje, bieżące potrzeby i na potrzeby naszego dziecka, mieszkającego gdzieś daleko.

Otrzymujemy emaile, zdjęcia, widzimy, jak rośnie i jak wygląda. Mamy stały kontakt z Fundacją Księża Orione Czyńmy Dobro, koordynatorami. Co roku spotykamy się na zjazdach, uroczystościach. Uczestniczyliśmy w spotkaniu w Brańszczyku, Kaliszu i Łązniewie. Są to zawsze niezapomniane chwile, pełne ciepła, wzruszeń, miłości bliźniego.

Po podjęciu adopcji na odległość myślałam, że nikomu o tym przedsięwzięciu nie powiem, może zostaną skrytykowana, wyśmiana, będą jakieś obiekcje. Stało się inaczej, podzieliłam się swoją radością, zostałam pochwalona, podziwiana, jakbym nie wiem, co uczyniła. Uważam, że to nic takiego, drobny gest. Ludzie na co dzień robią więcej dobrych rzeczy, wykonują szereg gestów w kierunku innych, szczególnie tych potrzebujących. Jednak odpowiedź innych osób na moje poczynania potwierdziła, że podjęłam dobrą decyzję, którą kontynuuję wraz z mężem.

Usłyszałam pytania: kiedy będziesz go miała, kiedy będzie z tobą, kiedy go zobaczysz. Wiedziałam, na co się piszę, że Roney ma rodziców, że może kiedyś choć raz go zobaczę. W głębi duszy realnie myśląc wiedziałam, że pewnie pozostanie to w sferze marzeń, ale kiedy usłyszałam od męża: *No przecież musimy mieć na twój wyjazd do Kenii*, zamarłam. A teraz Planujemy, że już w przyszłe wakacje odwiedzimy naszego adopcyjnego synka. Czyż to nie piękne? Dla takich chwil i marzeń warto żyć, polecam.

Poczynione przez nas działania ogromnie wpływają na nasze życie. Nie zapomnę spotkania w Brańszczyku, ciepłego przyjęcia nas i mnóstwa serdeczności, które są dziś niezmiernie potrzebne w pokonywaniu codziennych trudności, bo każdy je ma, my też. Nie zapomnę do końca życia Jutrzni w pochmurny poranek, podczas której modlono się w intencji rodziców adopcyjnych, a w tym czasie pojawiło się na niebie słońce i snopy promieni wdzierały się przez okienka do nas, a mnie dopadło takie wzruszenie, że dławiło mi głos w gardle. Nie zapomnę też nigdy, gdy usłyszałam, jaką furorę zrobiła pierwsza prawdziwa piłka w wiosce, na którą to my wysłaliśmy pieniądze, dla Roneya, bo chcieliśmy, żeby miał coś od nas dla siebie, ale nie tylko dla siebie, żeby bawił się nią razem z innymi dziećmi. Wcześniej natomiast dzieci w Kenii miały piłkę zrobioną z gazet owiniętych sznurkiem. Dzieci w Polsce mają tyle zabawek, że nie wiedzą, co z nimi robić.

Gorąco zachęcam do włączenia się w ten projekt: ***Adopcja na odległość dzieci z Laare***, warto, naprawdę warto, choćby dla tego uśmiechu, ciepłych słów, własnej satysfakcji i poczucia, że da się radę, żeby nie wiem co.

Pozdrawiam i dziękuję za poświęcony mi czas.

Szczęśliwy rodzic adopcyjny – Agnieszka Metzger – Obara.